

ARTHUR CONAN DOYLE

# OSTATNIA ZAGADKA

THE FINAL PROBLEM

Z niewymownym bólem przystępuję do opisu wypadków, w których po raz ostatni mam mówić o niezwykłym talencie mego przyjaciela Sherlocka Holmesa. Wspomnienie to, jeśli mam być szczery, jest dla mnie tak bolesne, że chętnie pomiąłbym szczegóły fatalnego wydarzenia, które w moim życiu spowodowało pustkę nie do zapelnienia; jednak sumienie każe mi przemóc stratę osobistą i szczegółowo opisać tragiczny zgon mego przyjaciela; zmuszają mnie do tego również ogłoszone niedawno listy pułkownika Jamesa Moriarty'ego, w których ów stara się zrehabilitować pamięć swego brata. Ponieważ jestem jedynym świadkiem tego, co zaszło pomiędzy profesorem Moriartym a moim przyjacielem Holmesem, dlatego uważam za swój obowiązek ogłosić prawdę drukiem, prawdę, spaczoną niestety, przez brata zmarłego profesora.

Zaznaczyłem już, zdaje się, we wcześniejszych opowiadaniach, że po moim ożenku i podjęciu praktyki, naturalną kolejną rzeczą, moja dotychczasowa zażyłość z Holmesem znacznie się rozluźniła. Od czasu do czasu przychodził jeszcze do mnie, prosząc, bym mu towarzyszył i współdziałał w jego poszukiwaniach; zdarzało się to jednak coraz rzadziej, aż wreszcie w roku 1890 zaledwie trzy razy brałem udział w jego wyprawach. Dlatego też zdziwiłem się niezmiernie, gdy w roku 1891, 24 kwietnia wieczorem, niespodzianie zjawił się u mnie. Zauważyłem od razu, że od naszego ostatniego spotkania bardzo się zmienił, zmizerniał, wychudł.

— A tak! — rzekł w odpowiedzi na moje słowa współczucia. — Ostatnimi czasy wiele pracowałem. Nagromadziło się tego tyle, a ja, jak zwykle, nie oszczędzałem siebie. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zamknął okiennice?

Pokój oświetlała tylko jedna lampa, przy której siedziałem i czytałem książkę. Holmes przemknął się ukradkiem koło ściany i zamknął okiennice, uważnie umocowawszy zasuwę od wewnątrz.

— Boisz się czegoś? — zapytałem.

— Tak jest, boję się.

— Czego?

— Wystrzału z fuzji.

— Jak mam to rozumieć?

— Mam nadzieję, mój drogi, że znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nie jestem przesadnie nerwowy. Byłoby jednak rzeczą nierozsądną lekceważyć niebezpieczeństwo, jeżeli ono naprawdę istnieje. Daj mi, proszę, zapalnik! Z widoczną przyjemnością zaciągnął się papierosem.

— Muszę cię przeprosić — rzekł po chwili — że tak późno przychodzę, a zarazem prosić cię, abyś nie miał mi za złe, że odejdę od ciebie nie jak porządni ludzie, lecz przełaząc przez parkan w ogrodzie.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytałem.

Wyciągnął ku mnie dłoń i przy świetle lampy ujrzałem, że dwa palce ręki były skaleczone.

— Jak widzisz, mam powód do obawy — rzekł z uśmiechem. — A czy pani Watson w domu?

— Nie, nie ma jej; pojechała z wizytą.

— Więc jesteś sam w domu?

— Najzupełniej sam.

— Tym lepiej. Przyszedłem zaproponować ci, byś za jakiś tydzień pojechał ze mną do Europy.

— Dokąd mianowicie?

— Dokąd chcesz. Wszystko mi jedno, byleby wyjechać. Było w tym coś dziwnego. Ostatnia rzecz, o jaką mógłbym podejrzewać Holmesa, to właśnie bezcelowy wyjazd, zupełnie nie leżący w jego charakterze. A do tego ta twarz — blada i zmęczona — z widocznymi oznakami nadludzkiego wręcz napięcia.

Spostrzegł moje zdumienie i, przybrawszy ulubioną pozę, w której zwykł oplatać rękoma kolana, zaczął mi objaśniać, co się święci.

— Nie słyszałeś prawdopodobnie nigdy o profesorze Moriartym? — zapytał.

— Istotnie, nie słyszałem.

— W tym właśnie tkwi jego geniusz! Człowiek ten jest sprężyną każdej zbrodni, jaka ma miejsce w Londynie, i nikt o nim nic nie wie. Gdyby mi się udało uwolnić świat od jego osoby, uważałbym, mój drogi, że doszedłem do szczytu chwały i usunąłbym się całkiem z czynnego życia. Tym bardziej że moje ostatnie poczynania w sprawie dwóch państw Skandynawii i Republiki Francuskiej na tyle zabezpieczyły mnie materialnie, że mógłbym już całkowicie poświęcić się badaniom chemicznym, które tak umiłowałem. Nie mogę jednak, zaznać spokoju, wiedząc, że taki człowiek, jak profesor Moriarty, oddycha wolnym powietrzem, przemierza swobodnie ulice Londynu!

— Cóż on takiego zrobił?

— Jego kariera jest niezwykła. Pochodzi z dobrej rodziny, starannie wychowany, obdarzony przy tym niezwykłymi zdolnościami matematycznymi. Już w dwudziestym roku życia swymi pracami w tej dziedzinie zwrócił powszechną uwagę i wkrótce otrzymał katedrę profesorską na jednym z uniwersytetów. Czekala go świetna przyszłość. Ale człowiek ten miał w sobie zbrodnicze skłonności, poszedł za ich głosem, a dzięki swym niezwykłym zdolnościom jeszcze je spotęgował. Stał się geniuszem zła. Mroczne wieści o tym rozniosły się po mieście, w którym mieszkał, tak że był zmuszony opuścić katedrę profesorską i przenieść się do Londynu. Oto wszystko, co w ogóle wiedzą o nim, ja zaś opowiem ci, co sam na jego temat odkryłem. Jak wiesz zapewne, mój drogi Watsonie, nikt nie jest zaznajomiony lepiej ode mnie z tym wszystkim, co się dzieje w londyńskim półświatku. Od wielu już lat podejrzewałem, iż w Londynie istnieje jakaś potężna organizacja, która działa wbrew prawu, sprawiedliwości i bierze pod swoją opiekę przestępców. Czy to znaczniejsza kradzież, czy zabójstwo, wszędzie czułem tę tajemniczą siłę, wykryłem ją w wielu przestępstwach, których nie rozwiązano, a w których wyświeltaniu brałem udział jedynie pośredni. Całymi dniami mozoliłem się nad wykryciem tej tajemnej organizacji i oto nareszcie po wielu trudach i zawodach, krok za krokiem udało mi się dojść do samego źródła tej siły i dociec, że jej głównym zbrodniczym motorem jest były profesor Moriarty.

Jest on stanowczo Napoleonem zbrodni i występku. Połowa przestępstw w stolicy, nie wyjaśnionych i nie rozwikłanych, jest dziełem jego ręki. Jest to geniusz, filozof, myśliciel, poeta. Umysłowość nadzwyczajna. Jak omotany pajak pozostaje on w środku pajęczyny; pajęczyna jednak posiada milion rozgałęzień i drgnięcie każdego z nich on zna doskonale. Osobiście nie działa. Jedynie planuje. Jego agenci są jak piasek, liczni i doskonale zorganizowani. Czy trzeba popełnić zbrodnię, czy sfalszować papiery, czy zlikwidować kogoś, kto im zawadza, donoszą o tym profesorowi; rzecz w lot zostaje obmyślona, zarządzona i wykonana. Agentów nieraz złapią, ale na jego uwolnienie zawsze znajdują się pieniądze i pomoc, jakiej potrzeba. Tylko główna sprężyna, oś wszystkiego, siła, rządząca agentami, pozostaje poza kołem podejrzeń. To on jest organizatorem zbrodni, spoiwem wszystkich przestępstw, Watsonie. Odkryłem to i poświęciłem wszystkie siły, by go zdemaskować i zniszczyć. Lecz profesor potrafił otoczyć się murem nieprzebytym; wszystkie moje wysiłki, by go przyłapać na gorącym uczynku i pociągnąć do odpowiedzialności, spełzły na niczym. Znasz moje zdolności, Watsonie; po trzech miesiącach wytężonej pracy mogę ci śmiało powiedzieć, że spotkałem wreszcie godnego przeciwnika, przeciwnika, który dorównuje mi siłą intuicji i przewidywania. Często podziw dla jego geniuszu brał we mnie górę nad odrazą, jaką budziły w moim umyśle jego zbrodnie. Wreszcie zrobił maleńki błąd, błąd ledwie dostrzegalny; skorzystałem z tego, pochwyliłem nić i począłem ze swej strony oplatać go pajęczą siecią. Teraz już mi się nie wyśliznie. Za trzy dni, a więc w

przyszły poniedziałek, profesor i główni członkowie jego szajki nareszcie znajdą się w rękach sprawiedliwości. A wtedy rozpocznie się proces, największy i najciekawszy w tym stuleciu; ujawnionych zostanie około czterdziestu zbrodni i złoczyńcy zostaną powieszani. Do tego jednak czasu wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy, gdyż mogą się oni wymknąć, pomimo niezbitych dowodów. Gdybym mógł działać w tej sprawie bez wiedzy profesora Moriarty'ego, wszystko by było w porządku. Moriarty jednak jest zanadto czujny i wie o każdym moim kroku. Nieraz już starał się wymknąć z mej sieci, ale jak dotąd umiałem temu zapobiec. Nigdy jeszcze nie natężyłem sił bardziej i nigdy jeszcze nie miałem takiego przeciwnika. Dziś rano zrobiłem ostateczne przygotowania; za trzy dni wszyscy zostaną ujęci. Siedziałem w swym pokoju i właśnie sprawę tę opracowywałem, gdy naraz drzwi się otworzyły i przede mną stanął profesor Moriarty.

Chociaż nerwy mam mocne, Watsonie, to jednak wyznaję, drgnąłem, gdy człowiek, który od dawna był celem mych działań, stanął przede mną oko w oko. Poznałem go od razu. Jest wysoki i szczupły, czoło ma nadmiernie wysunięte, oczy głęboko osadzone. Starannie wygolony, ma minę aktora, chociaż dotychczas zachował w ruchach coś profesorskiego. Plecy nieco pochylone od mozolnej pracy, a głowa zaledwie się porusza jakimś gestem złowieszczym, węzowym. Utkwił we mnie oczy i przyglądał się z wielką uwagą.

— Jesteś pan mniej odważny, niż się tego spodziewałem — rzekł wreszcie — jest rzeczą dosyć niebezpieczną trzymać w kieszeni nabity rewolwer.

Istotnie, gdy wchodził, kierowany instynktem i przeczuciem, że może mi grozić niebezpieczeństwo, odruchowo sięgnąłem po leżący na komodzie rewolwer i włożyłem go do kieszeni. Gdy to powiedział, wyjąłem rewolwer i położyłem go przy sobie na stole. Profesor uśmiechnął się najniewinniej w świecie, lecz z wyrazu jego oczu wyczytałem, że ostrożność ta z mej strony nie była zbyt uczynna.

— Pan prawdopodobnie nie wie, kim jestem? — zapytał.

— Przeciwnie. Zdaje mi się, że już tego dowiodłem. Proszę, niech pan siada. Mogę panu poświęcić pięć minut, jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia.

— Wszystko, co mam panu do powiedzenia, już pan odgadł — rzekł.

— W takim razie musiał pan też zgadnąć moją odpowiedź — odparłem.

— Nie da się tego cofnąć?

— Nie!

Sięgnął do kieszeni, a ja po rewolwer; on jednakże wyjął tylko notatnik, z którego odczytywał następujące daty:

— 4 stycznia stanął pan pierwszy raz na mojej drodze; 23 stycznia znowu mnie pan zaniepokoił; w połowie lutego zaszкодził mi pan poważnie; w końcu marca zepsuł mi pan plany, a teraz, w końcu kwietnia, dzięki pańskim pościgom, znalazłem się w takich opałach, że mogę nawet stracić wolność. To staje się nie do zniesienia.

— Właściwie czego pan sobie życzy? — zapytałem.

— Musi pan ze wszystkiego zrezygnować, panie Holmes, mówię to poważnie.

— Dobrze, po poniedziałku! — odpowiedziałem.

— Niech pan nie żartuje! Człowiek z pańską inteligencją powinien już zrozumieć, że pozostało mu tylko jedno: wycofać się. Doprowadził pan do tego, że nie mamy wyboru, jeśli idzie o pana. A zaręczam, że, poznawszy pański niezwykły talent, z dużą przykrością sięgnąłbym do ostatecznych środków. Pan się śmieje, panie Holmes, ja jednak zapewniam pana, że mówię serio.

— Niebezpieczeństwo jest nieodłączną częścią mego powołania! — odparłem.

— My jednak nie rozmawiamy o niebezpieczeństwie, panie Holmes, lecz o niechybnej zagładzie. Stał pan na drodze nie pojedynczej osoby, lecz całej potężnej organizacji; jej zasięgu i potęgi, mimo swego intelektu, nie zdołał pan ogarnąć. Dlatego powtórzę: albo się pan wycofa, panie Holmes, albo zginie.

— Obawiam się — powiedziałem podnosząc się — że rozmowa z panem odciąga mnie od ważnych i pilnych spraw. Moriarty też powstał i smętnie pokiwał głową.

— Szkoda! — rzekł. — Zrobiłem wszystko, co mogłem. Znam pańskie szanse w najdrobniejszych szczegółach: do poniedziałku nic pan nie robi. Jest to pojedynek pomiędzy panem i mną, panie Holmes. Pan ma nadzieję pokonać mnie. Jednak zapewniam pana, że to się nie uda. Jeżeli coś mi się stanie, zginie pan w tej samej chwili.

— Panie Moriarty! — odpowiedziałem mu na to — powiedział pan parę komplementów o moim talencie. Proszę pozwolić powiedzieć sobie w zamian, że gdybym mógł być pewien pierwszego, bez wahania pogodziłbym się z tym drugim.

— Mogę panu przyrzec tylko to drugie — rzekł ze zjadliwym uśmiechem i wyszedł z pokoju. Taki był przebieg mojego oryginalnego spotkania z profesorem Moriartym. Wyznaję ci, że pozostawiło na mnie przykre wrażenie; ten człowiek wie, co mówi. Powiesz mi na to: dlaczego nie zwrócę się o pomoc do policji? To jednak do niczego nie doprowadzi, gdyż on pozostanie w cieniu, działać zaś będą jego agenci: przekonałem się o tym najdokładniej już dzisiaj.

— A więc nastawano już na twoje życie?

— Mój drogi! Profesor Moriarty nie należy do tych, którzy zasypiają gruszki w popiele. Wyszedłem dziś koło południa, by załatwić sprawę na Oxford Street. Zaledwie doszedłem do rogu, na zakręcie wpadł na mnie z całym impetem dwukonny powóz; zdążyłem na szczęście uskoczyć na chodnik. Powóz zniknął w jednej chwili. Nie schodziłem już z chodnika. Nie zdążyłem jednak przejść dwóch przecznic, gdy nagle spadła z dachu jednego z domów olbrzymia cegła i rozprysła się tuż koło moich nóg. Zawołałem policję i kazałem sprawdzić dach. Okazało się, że właśnie był w naprawie, złożono więc na nim cegły do wymiany. Policjanci przekonywali mnie, że to wiatr musiał strącić jedną z nich. Chociaż wiedziałem doskonale, co się święci, nie mogłem niczego dowieść. Wziąłem fiakra i pojechałem do brata na Pall-Mall, gdzie zabawiłem cały dzień. Od niego wybrałem się do ciebie; po drodze napadł na mnie jakiś drab z nożem. Obezwładniłem go i oddałem w ręce policji, zapewniam cię jednak, że nikt nie połączy tego łotra z profesorem matematyki, który w tej chwili siedzi i obmyśla, jak mnie zgładzić. Teraz zapewne już cię nie dziwi, dlaczego po przyjściu do ciebie koniecznie chciałem zamknąć okiennice i dlaczego prosiłem cię, byś pozwolił mi wyjść stąd przez parkan w ogrodzie.

Nieraz zachwycąłem się odwagą mego przyjaciela; nigdy jednak nie wzbudziła ona we mnie tyle szacunku co teraz, gdy z takim spokojem opisywał wypadki tego dnia, wypadki, które mogły przerazić nawet najodważniejszego.

— Przenocujesz u mnie? — spytałem.

— Nie, Watsonie! Gość ze mnie nadto niebezpieczny. Mam już gotowy plan. Tak wszystko zarządziłem, że przy aresztowaniu mogę być nieobecny; potem będę stawał tylko jako świadek. Dlatego też będzie najlepiej, jeżeli na kilkanaście dni zniknę wszystkim z oczu; policja będzie działała według moich wskazówek i w ciągłej łączności ze mną. Czuję się szczęśliwy, gdybyś zechciał mi towarzyszyć — do Europy.

— Pacjentów mam teraz niewielu — rzekłem — i mój sąsiad na pewno mnie zastąpi. Zgadzam się, jądę.

— Ale czy możesz jutro rano?

— Bez wahania, Jeżeli trzeba.

— Tak! To konieczne. Dam ci instrukcję, jak masz postępować. Proszę cię, byś się jej trzymał co do joty, gdyż, jak wiesz, walczymy z największym łotrem na świecie i ze świetnie zorganizowaną bandą. Słuchaj więc. Dziś jeszcze wyślesz rzeczy na kolej przez kogoś pewnego, bez wymienienia jednak miejscowości, do której mają podążyć. Z rana pošlesz po fiakra, pamiętaj jednak, byś kazał zawołać nie pierwszego czy drugiego koło twego domu, lecz kogoś z dalszych. Fiakrem tym dojedziesz do pasażu koło Strandu, tam wysiądziesz, szybko przejdiesz przez pasaż i piętnaście po dziewiątej znajdziesz się na drugiej stronie. Tam będzie oczekiwał na ciebie powóz jednokonny z ubranym na czarno woźnicą. On przywiezie cię na dworzec parę minut przed odjazdem pociągu.

— Gdzież mam cię szukać?

— W pociągu. Drugi wagon pierwszej klasy, licząc od lokomotywy.

— Zatem dopiero tam się zobaczymy?

— Tak jest.

Na próżno namawiałem go, by został na noc. Rzekł jeszcze kilka słów na pożegnanie i udał się ze mną do ogrodu, skąd przez parkan przedostał się na Mortimer Street. Po chwili usłyszałem, jak wskoczył do dorożki i odjechał.

Na drugi dzień rano zastosowałem się ściśle do wskazówek Holmesa. Sprowadziłem dorożkę z sąsiedniej ulicy, by nie trafić na podstawionego dorożkarza; następnie przeszedłem szybko przez pasaż i na jego końcu ujrzałem czarno ubranego woźnicę; wskoczyłem do powozu, a on ruszył natychmiast na dworzec. Gdy przybyliśmy na miejsce, ledwie wysiadłem, woźnica zaciął konie i zniknął mi zaraz z oczu. Dotychczas wszystko szło dobrze. Odnalazłem swój bagaż i wsiadłem do umówionego wagonu. Obawiałem się tylko jednego; żeby Holmes się nie spóźnił. Za parę minut pociąg miał już ruszyć. Bezskutecznie szukałem go wśród tłumu; nigdzie nie było widać jego zgrabnej figury. W pewnej chwili zostałem zaczepiony przez jakiegoś włoskiego księdza, któremu pomogłem rozmówić się z tragarzem, nie mogącym ani rusz zrozumieć jego łamanej angielszczyzny, dotyczącej odesłania bagażu do Paryża. Raz jeszcze obszedłem platformę i wróciłem do wagonu; zastałem tam owego włoskiego księdza. Chciałem mu nawet zwrócić uwagę, że przedział jest zajęty i że wsiadł tu przez pomyłkę; zaniechałem jednak, nie chcąc łamać języka moją „włoszczyzną” chyba jeszcze gorszą od jego angielszczyzny. Zacząłem wyglądać przez okno, wypatrując mego przyjaciela. Zimno mnie przejmowało na myśl, że może stało się coś złego tej nocy. Wreszcie zatrzaśnięto drzwi wagonów, rozległ się dzwonek, a wraz z nim głos tuż obok mnie:

— Mój kochany Watsonie! Mógłbyś chociaż przywitać się ze mną. Obejrzałem się zdumiony. Zgrzybiały księżyna patrzył na mnie badawczo. I oto w jednej chwili zmarszczki na jego twarzy drgnęły i zginęły, nos się wyprostował, podbródek opadł, dolna warga już nie zwisała, mętne oczy patrzyły znowu z młodzieńczym ogniem, a zgarbiona postać stała się znów prosta i sprężysta. Przede mną stał Holmes, lecz tylko przez chwilę.

— Boże — krzyknąłem mimo woli — ależ mnie nastraszyłeś!

— Tss — szepnął mi — ostrożność nie zawadzi. Podejrzewam, że tropią nas zawzięcie... Aha! masz, oto i Moriarty!

Gdy Holmes to powiedział, pociąg już ruszył. Obejrząwszy się, ujrzałem, jak jakiś wysoki człowiek rozpychał tłum na dworcu i machał ręką, jakby chciał zatrzymać pociąg. Było już jednak za późno, pociąg przyspieszył biegu i jak strzała pomknął naprzód.

— Widzisz więc! — rzekł Holmes śmiejąc się. — Mimo ogromnej ostrożności ledwie nam się udało. Powstał, zdjął z siebie sutannę, zwinał ją i włożył do walizy.

— Czytałeś poranne gazety? — Nie.

— Więc nic nie wiesz, co się stało na Baker Street?

— Na Baker Street?

— W nocy podpalili mój dom. Na szczęście niewiele się spaliło.

— O, Boże! Ależ to nie do zniesienia, mój drogi!

— Stracili mnie widocznie całkiem z oczu od chwili, gdy został aresztowany ów drab, który rzucił się na mnie z nożem. Nie wiedzieli, gdzie mnie szukać i sądzili, że powrócę do domu. Ale dla pewności śledzili i ciebie, dlatego Moriarty znalazł się na dworcu. Czy wypełniłeś skrupulatnie moje polecenia?

— Tak jest, dokładnie.

— Znalazłeś powóz po wyjściu z pasażu?

— Tak, czekał na mnie.

— Poznałeś woźnicę?

— Nie.

— To był mój brat Mycroft. W takich sytuacjach najlepiej polegać na zaufanych. No, jak teraz postąpimy z Moriartym?

— Przecież to ekspres, który ma połączenie ze statkiem; uniknęliśmy więc jego pościgu.

— Mój drogi! Zapomniałeś widocznie, co ci mówiłem, że ten człowiek w niczym nie ustępuje mojej przenikliwości i sprytowi. Czy sądzisz, że gdybym to ja go ścigał, taka drobnostka mogłaby mnie zbić z tropu? Kiepskie masz o nim wyobrażenie, przyjacielu!

— A cóż on może zrobić?

— To samo, co ja bym zrobił, będąc na jego miejscu.

— Mianowicie?

— Wynająłbym pociąg.

— Na to już za późno.

— Mylisz się. Nasz pociąg zatrzymuje się w Canterbury, a do tego statek spóźnia się zwykle o cały kwadrans. Tym więc sposobem dogoni nas.

— Mam wrażenie, jak byśmy to my byli zbrodniarzami, a on nas ścigał. Każ go aresztować na przystani.

— To by znaczyło zmarnować wszystko, co zrobiłem w ciągu trzech miesięcy. Ujęlibyśmy jego, a banda by się rozpierzchła. Tymczasem w poniedziałek wszyscy bez wyjątku będą w moich rękach. Nie, nie może być mowy o aresztowaniu.

— To co zrobimy?

— Wsiądziemy w Canterbury.

— A potem?

— A potem zboczmy do Newhaven i stąd przejedziemy do Dieppe. Moriarty zaś uczyni tak: przyjedzie do Paryża, odszuka nasz bagaż i będzie go pilnował. Przez cały ten czas będziemy musieli kupować wszystko w drodze, obywając się bez naszych rzeczy; tym sposobem przez Luksemburg i Baden dostaniemy się do Szwajcarii.

Zbyt wiele podróżowałem, bym miał się martwić z powodu straty bagażu. Wyznaję jednak, że przykra była ta ucieczka przed człowiekiem, który sam powinien siedzieć w więzieniu. Tak czy owak, wierzyłem, że Holmes wie lepiej ode mnie, co należy czynić, dlatego też najposłuszniej wysiadłem z nim w Canterbury, gdzie musieliśmy całą godzinę czekać na pociąg do Newhaven.

Stałem na platformie, z żalem patrząc, jak w świat jada moje rzeczy i cała moja podróżna garderoba, gdy nagle Holmes pociągnął mnie za rękaw.

— Patrz! czy nie miałem racji? — powiedział.

Zza lasku ukazał się dym, a w niespełną minutę potem przemknęła przed nami jak burza lokomotywa z jednym tylko wagonem. Ledwie zdążyliśmy się ukryć za stosem skrzyń i kufrów.

— To on jedzie! — rzekł Holmes, wskazując pociąg. — Tym razem jednak omylił się nieco w rachunkach.

— A co by było, gdyby nas dogonił?

— Nie ulega wątpliwości, że usiłowałby mnie zabić. Ale możesz być pewny, że nie byłoby to takie proste. Teraz jednak chodzi o to, czy zjeść śniadanie tu, czy poczekać do przyjazdu do Newhaven.

Tej nocy przyjechaliśmy do Brukseli i zabawiliśmy tam dwa dni; trzeciego wyjechaliśmy do Strasburga. W poniedziałek rano Holmes zatelegrafował do Scotland Yardu i wieczorem otrzymał odpowiedź. Przeczytawszy ją, rzucił z przekleństwem na ziemię.

— Tego się obawiałem — jęknął — wymknął się im!

— Moriarty?!

— Schwytali całą szajkę, oprócz niego; uciekł! Podczas mojej nieobecności nikt nie mógł, to pewna, iść z nim w zawody. Spodziewałem się jednak, że cała rzecz, przeze mnie zorganizowana, pójdzie jak po maśle. Wiesz co, Watsonie? Wracaj teraz lepiej do Londynu!

— Dlaczego?

— Bo w moim towarzystwie nie jesteś bezpieczny. Człowiek ten przegrał już wszystko; wracać do Londynu nie ma po co. Jeżeli go dobrze znam, wszystkie siły zużyje teraz na to, by mi sownie odplacić. Tak zapowiadał — i tak też uczyni niezawodnie. Lepiej więc będzie, gdy wrócisz do swych chorych.

Rzecz prosta, pozostałem głuchy na jego namowy. Zbyt go lubiłem, zbyt długa przyjaźń nas łączyła, bym mógł się zgodzić na pozostawienie go w tej sytuacji bez życzliwej dłoni. Sprzecaliśmy się na ten temat przez pół godziny; stanęło na tym, że tej jeszcze nocy pojechaliśmy razem do Genewy.

Cały tydzień spędziliśmy cudownie na wodach Rodanu, bawiliśmy w Interlakenie, w Meiringen zachwycaliśmy się widokami górskimi, oddychaliśmy świeżym jak rosa, powietrzem. Wszędzie jednak, gdzie byliśmy, czułem wyraźnie, że Holmes nie zapomina ani na chwilę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Czy to w osadach alpejskich, czy na odludnych górskich szlakach jego oko bacznie wpatrywało się w każdego przechodnia; widać było, że jest przygotowany na spotkanie się ze swym wrogiem.

Mimo tej ciągłej czujności nie upadał na duchu. Nigdy jeszcze nie widziałem go w tak świetnym nastroju; utrzymywał, że gdyby udało mu się uwolnić świat od Moriarty'ego, nie zawahałby się ani przez chwilę zapłacić za to własnym życiem. Pozostaje mi obecnie w niewielu słowach opowiedzieć resztę smutnych wypadków. I choć każdy szczegół tych ostatnich chwil sprawia mi ogromny ból, uważam za swój obowiązek podzielić się nimi z ogółem czytelników.

Trzeciego maja przybyliśmy do małej miejscowości Meiringen i zatrzymaliśmy się w hotelu Englicher Hoff prowadzonym przez Petera Steilera. Był to człowiek dosyć inteligentny, biegle mówiący po angielsku, ponieważ przez trzy lata był lokajem w jednym z angielskich hoteli. Idąc za jego wskazówkami, czwartego maja po południu wybraliśmy się w góry, pragnąc dotrzeć do wioski Rosenlau i tam przenocować. Odradzał nam jednak szczerze krótszą drogę, która wiodła koło wodospadów i była nad wyraz niebezpieczna.

W istocie miejsce to budziło grozę. Woda spadała do głębokiej otchłani, a unoszące się nad nią bryzgi przypominały wielkie dymy pożaru. Towarzyszył temu ogłuszający łoskot. Długo staliśmy na wierzchołku skały, zachwycając się tym wspaniałym widokiem. Do wodospadu prowadziła wąska ścieżka, która urywała się nad samym jego skrajem, tak że wracać trzeba było tą samą drogą. Zaledwie ruszyliśmy od wodospadu, gdy dogonił nas chłopiec z listem w rękę. Na kopercie był znak naszego hotelu. A oto co pisał gospodarz: w chwilę po naszym wyjściu przyjechała do hotelu Angielka w ostatnim stadium gruźlicy. Dostała krwotoku i jej życie



policzone jest na godziny; pragnie jednakże pomocy lekarskiej; jeżeli więc mogę zawrócić z drogi... itd. w tym guście. Na końcu był dopisek: Steiler nie zapomni mi nigdy tej przysługi, bo chora nie chce lekarza szwajcarskiego.

Nie mogłem odmówić. Nie wypadło nie iść na wezwanie rodaczki, umierającej w obcym kraju. Ale też nie mogłem zostawiać Holmesa samego. Postanowiliśmy wreszcie, że z nim pozostanie ów chłopiec przybyły z listem, ja zaś podążę do Meiringen. Holmes miał jeszcze zabawić nieco przy wodospadzie, a potem powoli udać się do Rosenlau, gdzie miałem dotrzeć do niego wieczorem. Gdy się obróciłem, odszedłszy już nieco, zobaczyłem Holmesa, opartego plecami o skałę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, patrzącego w dół, w otchłań wodospadu. Widziałem go wtedy ostatni raz!

Gdy byłem już na dole, u podnóża skał, raz jeszcze obejrzałem się; wodospadu nie było widać, lecz ścieżką, wiodącą ku niemu, szedł szybko jakiś człowiek.

Na jasnym tle zieleni jego postać było widać wyraźnie. Zwrócił moją uwagę tym, że szedł szybko, bez zatrzymywania się. Wkrótce zapomniałem o nim, myśląc o chorej. Po upływie godziny przybyłem do Meiringen. Stary Steiler stał w drzwiach hotelu.

— No! Jakże tam? — wykrzyknąłem z dala. — Mam nadzieję, że stan się nie pogorszył.

Steiler spojrział na mnie zdziwiony, a moje serce ścisnęło się od złych przeczuć.

— Czy nie pisał pan tego listu? — zapytałem go, wyjmując list z kieszeni. — Czy nie przyjechała do hotelu chora Angielka?

— Ależ nie! — odrzekł, dziwiąc się coraz bardziej. — Papier ze znaczkiem hotelu... Musiał to pisać ów wysoki Anglik, który tu przybył zaraz po odejściu panów. Mówił mi...

Nie dosłuchałem końca i pędem zawróciłem tą samą drogą, którą przed chwilą przyszedłem. Schodziłem dobrą godzinę, teraz, idąc pod górę, upłynęły dwie godziny, zanim dotarłem do wodospadu. W pobliżu skały leżał kij alpejski Holmesa, tuż koło tego miejsca, gdzie widziałem go ostatni raz. Na próżno wołałem przyjaciela, szukając go dookoła: jedynie górskie echo odpowiadało na moje słowa.

Widok kija przeraził mnie. Oznaczało to, że nie poszedł do Rosenlau. Stał na tej wąskiej ścieżce, tuż nad samą przepaścią, i tu go spotkał wróg. Chłopca również nigdzie nie było. Widocznie został przekupiony przez Moriarty'ego i zostawił ich sam na sam. Co było potem? Kto odgadnie, co się stało później?

Parę minut stałem w odrętwieniu, przejęty grozą. Potem — o, ironio! — naśladując Holmesa, starałem się jego własną metodą odtworzyć scenę, jaka tu mogła się rozegrać. Niestety! Okazało się to nader trudne. W ciągu całej naszej rozmowy nie dochodziliśmy do końca ścieżki; jego kij alpejski wskazywał, gdzie się zatrzymaliśmy. Grunt w tym miejscu był bardzo miękki, nawet ptak zostawił na nim ślady. Dwie pary śladów prowadziły dalej tą ścieżką, lecz nie powracały. W odległości kilku jardów od brzegu przepaści ziemia była zdeptana, miała liczne zagłębienia. Położyłem się na samym skraju otchłani i zajrzałem w głąb. Zapadał już zmrok, widziałem tylko pod sobą kłęby huczącej wody i nic więcej. Zawołałem, ale nie było odpowiedzi. Los jednak zrządził, że od swego przyjaciela i towarzysza otrzymałem znak pożegnalny. Mówiłem już, że kij leżał porzucony koło skały. Podniosłem go i wtedy zobaczyłem, że coś błysnęło na ziemi. Była to srebrna papierośnica Holmesa. Otworzyłem ją z uczuciem żalostnej trwogi; ze środka wypadł kawałek papieru. Rozwinąłem go; był zaadresowany do mnie. Była to kartka, wydarta z notesu i zapisana ołówkiem. Trzeba oddać sprawiedliwość Holmesowi; w ostatniej chwili życia pisał równie wyraźnie i spokojnie, jak to czynił przy swym biurku. Oto ten list w całości:

*„Kochany Watsonie! Kreślę te słowa dzięki uprzejmości pana Moriarty'ego, który zgodził się zaczekać kilka chwil, zanim przystąpimy do rozwiązania sprawy życia i śmierci. Opowiedział mi, jakim sposobem uniknął pościgu, policji angielskiej i wyszedł nas w naszej podróży. Jeszcze*

*teraz mam pochlebne zdanie o jego talencie. Jestem rad, że moim udziałem staje się uwolnienie świata od tego człowieka, boleję tylko nad tym, że swoim przyjaciołom, a głównie Tobie, Watsonie, sprawić muszę ból. Mówiłem ci już jednak, że dobiegłem do szczytu sławy i w sposób świetniejszy nie mógłbym zakończyć mej drogi. Jeżeli chcesz znać prawdę, to ani przez chwilę nie wątpię, że ów list z hotelu to podstęp Moriarty'ego. Pozwoliłem jednakże Ci odejść, wiedziałem bowiem, że tak czy owak starcie z nim staje się nieuniknione. Przekaż ode mnie inspektorowi Pattersonowi, że wszystkie papiery, dotyczące sprawy Moriarty'ego, leżą u mnie w biurku. Testament zrobiłem już przed wyjazdem z Londynu i wręczyłem go swemu bratu Mycroftowi. Bądź łaskaw przekazać słowa szacunku swej żonie. Twój szczerze oddany  
Sherlock Holmes”*

Jeszcze kilka słów. Badania biegłych wykazały, że pojedynek ów zakończył się runięciem obu w przepaść. Wszelkie próby wydobywania ciał okazały się niewykonalne. I oto tam, w dole, wśród potoków huczącej wody, spoczęły dwa ciała: największego zbrodniarza i najlepszego detektywa, przyjaciela i dobroczyńcy ludzkości. Chłopca, który doręczył list, również nie znaleziono; nie ulega wątpliwości, że był to jeden z agentów Moriarty'ego.

Tak zginął, jak żołnierz na posterunku, najlepszy i najmądrzejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem. Pamięć o nim pozostanie mi droga na zawsze.